
Kultura niezależna 1976–1989. Studia i materiały

NOW-A W KARNAWALE

MIROŚLAW **CHOJECKI**

NOWA PUBLISHING HOUSE

DURING THE "SOLIDARITY CARNIVAL" PERIOD IN 1980-1981

NOWA was an independent and underground publishing house founded by the democratic opposition in the 1970s. The following article is a presentation of Mirosław Chojecki memories. This chemist, employed at the Institute for Nuclear Research, was also a co-worker of the Workers' Defense Committee and one of the most active member of the NOWa publishing house. Article refers especially to the history of his activity during the "Solidarity carnival" period in 1980-1981.

Keywords

"NOWa"; "kontakt"; censorship, freedom of print; "Solidarity"

W sierpniu 1980 r. dysponowaliśmy w NOW-ej jednym wysoko wydajnym powielaczem, AB Dick, który jesienią 1977 r. Zbyszek Romaszewski zorganizował był w ambasadzie amerykańskiej (ogłoszono tam wyprzedaż). Właściwie nie wiem, czy to on załatwił; na pewno od niego dostałem klucz do skrytki na dworcu wschodnim, skąd trzeba było coś wyjąć – i okazało się, że to powielacz.

Mieliśmy w ogóle dwa powielacze AB Dick. Jeden zabrała nam milicja, gdy drukowaliśmy „Głos”, a drugi ostał się do samego końca. Mieliśmy także trzy lub cztery powielacze Gestetner. Pierwszy offset natomiast przywiózł z Wiednia Staszek Bareja chyba w lipcu 1980 r. Na granicy tłumaczył, że ma zachodnią pralkę i wiezie części do niej. Wyjeżdżał w tę podróż wielkim mercedesem, z żoną i córką. Po drodze, jeszcze w Polsce, rozbił mercedesa i dalej pojechał małym fiatem. Przepakować się z mercedesa do małego fiata, jeszcze dorzucić offset... Można sobie wyobrazić, co to znaczy. Ale powiedział: „Zobowiązałem się, nie było innego wyjścia”.

Oprócz tego mieliśmy niepoliczalną ilość tego, co nazywaliśmy ramką (ramkę w każdej chwili można było zrobić od nowa). W tym momencie ramki nie były już mniej wydajne od powielaczy elektrycznych.

Zawsze gdy zachodziły jakieś istotne wydarzenia i trzeba było drukować ulotki, robiła je NOW-a. Tak było po śmierci Staszka Pyjasa, kiedy Oficyna jeszcze nie istniała, ale powielacze już mieliśmy; drukowaliśmy w Warszawie ulotki i oświadczenia KOR i woziliśmy do Krakowa. Tak było przy powstawaniu komitetów chłopskich. Ale w sierpniu 1980 r. najważniejszą instytucją był „Robotnik”. Drukowano go na sicie.

Na początku sierpnia dostałem wiadomość od Bogdana Borusewicza, że koniecznie trzeba

przywieźć sprzęt do Gdańska, bo się tam coś szykuje. Miałem jechać na wakacje z dziećmi do Dębek. Zapakowałem powielacz do torby po rowerze składaku – i pojechaliśmy pociągiem. Byłem umówiony – nie pamiętam już, czy z Bogdanem, czy z jego kurierem – na jednej ze stacji na trasie Gdańsk – Gdynia. Pojawił się człowiek, który wiedział, w którym wagonie siedzę, podał hasło i zabrał torbę. Później jednak nie znalazłem tego powielacza w Stoczni Gdańskiej.

Ale zanim zaczęły pracować powielacze w stoczni, ulotki wzywające do strajku drukowano gdzieś indziej. Opowiadał mi Józef Przybylski, później członek Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, że drukowano je u niego. Tyle o tym wiem.

Konrad Bieliński i Ewa Milewicz jeździli wtedy po Mazurach, bo mieli się spotkać z jakimiś Niemcami, którzy przywieźli powielacz. Jednak się z nimi nie spotkali i uznali, że podjadą do mnie do Dębek. Właśnie radio podało, że coś się dzieje w Gdańsku, więc wsiedliśmy w samochód Ewy i tam pojechaliśmy.

Zostawiłem dzieci w namiocie, pod opieką Romy i Stefana Bratkowskich. Mogłem przyjeżdżać do nich tylko na noc. Za każdym razem gdy wracałem, Stefan mówił: dzisiaj jedziemy do stoczni. Ale gdy przychodziła pora wyjazdu, siódma czy ósma wieczorem, to jakoś nie można go było znaleźć. Roma mówiła, że gdzieś poszedł, jutro ze mną pojedzie. Ale bardzo pomagał przy dzieciach. Dawid miał sześć lat, a Kuba trzy.

Do roboty do stoczni jeździłem samochodem Wojtka Topińskiego. Któregoś razu, gdy wracałem, zostałem zatrzymany do rutynowej kontroli. Nie miałem karty wozu. Milicjanci zaczęli sprawdzać, kto jest właścicielem, a gdy się zorientowali, kogo mają, to mnie zatrzymali. Karta wozu była włożona przed siedzeniem pasażera,

ale o tym nie wiedziałem. Przez własną głupotę dałem się zamknąć. To było 21 sierpnia.

Najpierw trzymali mnie w Gdańsku, później przywieźli do Warszawy. Puszczali na chwilę, zamykali znowu, aż w końcu przywieźli na Rakowiecką. Zwolnili mnie stamtąd 31 sierpnia, w niedzielę. A zazwyczaj w niedzielę nie zwalniali. Funkcjonariusz kazał mi dzwonić do Gdańska i powiedzieć, że jestem wolny. Odpowiedziałem, że z aresztu pod żadnym pozorem nie będę telefonował. Zadzwonię z domu, by tamci mogli oddzwonić i sprawdzić, czy rzeczywiście mnie wypuścili. No to mnie podwieźli radiowozem do domu. Ponieważ byłem na strajku, stoczniowcy domagali się, aby mnie zwolniono, żeby sprawdzić dobrą wolę władz.

Pierwszego września mam urodziny. Do mieszkania na Sarbiewskiego, 49 metrów kwadratowych, weszło ze 150 osób. Był taki ścisk, że gdy ks. Czesław Sadłowski przyjechał ze Zbrozsy ze skrzynką jabłek w prezencie, to on jeszcze wszedł, ale skrzynka została na zewnątrz. To był moment ogromnej euforii: powstała Solidarność.

We wrześniu zgłosiłem się do Instytutu Badań Jądrowych, gdzie pracowałem, zanim mnie wyrzucili w 1977 r. Uznałem, że moja misja została skończona. Jest potężny ruch społeczny, mnóstwo nowych ludzi, którzy teraz chcą robić to, co myśmy robili chałupniczo; ja wracam do IBJ. Natomiast znakomita większość ludzi NOW-iej zaczęła wspomagać powstające Międzyzakładowe Komisje Założycielskie Solidarności. W Gdańsku Solidarność miała chłopaków z Ruchu Młodej Polski, Wrocław miał swoich, Kraków i Lublin też. Ale do Poznania, Łodzi, Bydgoszczy, Rzeszowa to myśmy kogoś wysyłali, żeby organizował poligrafię. To znaczy ktoś jechał ze sprzętem – z tymi naszymi pięcioma, sześcioma powielaczami. W niedługim czasie

jednak MKZ-ety zdobyły własne offseety, jakieś fotokopiarki, więc myśmy swoje z powrotem schowali. Nasz prymitywny sprzęt przegrywał z tym, który był w MKZ-etach.

Uważaliśmy, że NOW-iej nie należy ujawniać – struktur ani sprzętu – bo to się może jeszcze przydać. Szczególnie po moim powrocie z Zachodu. Zostałem zaproszony do Sztokholmu (przez szwedzkiego króla), gdy Czesław Miłosz otrzymał literacką Nagrodę Nobla. NOW-a była przecież jedynym wydawcą Miłosza w Polsce. Więc z Grzesiem Bogutą pojechaliśmy na wręczenie nagrody. A tam akurat panowała panika w związku z groźbą interwencji sowieckiej: na 10 grudnia 1980 r. zorganizowano uroczystości noblowskie, a 8 grudnia Rosjanie mieli wejść do Polski. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, na ile to jest poważne. Przecież prasa polska o tym nie pisała. Wszystkie ostrzeżenia przychodzące z Zachodu traktowaliśmy zazwyczaj z lekceważeniem: co tam oni straszą... Rosjanie są już zaangażowani w Afganistanie, nie dadzą rady z Polską. Ja jednak przebywałem na Zachodzie prawie przez miesiąc, bo po Sztokholmie pojechałem do Londynu, później jeszcze w Paryżu odwiedziłem Jerzego Giedroycia, nasiąknęłam atmosferą zagrożenia. Dlatego odebraliśmy wtedy cały sprzęt z MKZ-tów.

NOW-a cały czas normalnie działała; z Regionu Mazowsze NSZZ Solidarność nasz sprzęt został szybko wycofany. Ponadto Oficyna drukowała nie tylko na sprzęcie elektrycznym, ale także na sicie, na ramce. Wydawałoby się, że w sytuacji, kiedy rodzi się taki ruch społeczny jak Solidarność, to tom np. Jaspersa może spokojnie poczekać. Są rzeczy pilniejsze, gdy wieje wiatr historii i trzeba mu pomóc dmuchać. Ale w gruncie rzeczy nie mieliśmy takich dylematów. Nie zastanawialiśmy się, czy drukować np. tom

poezji Staszka Barańczaka (w 1981 r. wyszły jego *Wiersze prawie zebrane*), czy raczej ulotki i prasę związkową.

Najlepszej maszyny AB Dick nigdy nie oddaliśmy do MKZ. Cały czas pracowała na potrzeby NOW-ej. NOW-a korzystała też ze sprzętu związkowego. Wychodziliśmy z założenia, że tak jak we wrześniu czy w październiku 1980 r. nasze urządzenia były wykorzystywane przez związek do druku bieżących rzeczy, to teraz gdy są akurat wolne i nie drukują w Warszawie prasy związkowej – „Wiadomości Dnia” czy „AS-a” – spokojnie mogą produkować nasze rzeczy. A że „AS-a” i „Wiadomości” drukowali Andrzej Zieliński z Bogdanem Grzesiakiem, nasi koledzy, to nie było problemu, żeby z nimi załatwić. Dostarczaliśmy papier i wykorzystywaliśmy powielacz... Skoro stoi i ma się kurzyć, niech lepiej pracuje. Gdy wiosną 1981 r. Szwedzi mocno się zaangażowali w pomoc dla Solidarności i przysyłali tutaj sporo sprzętu, rozmawiałem z nimi o tym, co jest nam potrzebne. Potem się wycofałem z działalności, lecz oni zaczęli przysyłać potężne maszyny formatu A3, A2. W grudniu to wszystko szlag trafił. Natomiast małe offsety A4, które przyjechały na początku, w dużej mierze ocalały, bo dawały się wynieść.

Jesienią 1980 r. zaczęły powstawać biblioteki związkowe. Byliśmy ich inicjatorami. Pamiętam rozmowy na ten temat, chyba jeszcze w pierwszej siedzibie Regionu Mazowsze, na Szpitalnej. Przeznaczaliśmy pewną część egzemplarzy do bibliotek, nie do kolportażu związkowego sensu stricto, bo wydawało się nam, że nie wszystkie rzeczy, które wydajemy, nadają się do powszechnego czytelnictwa. Drukowaliśmy głównie literaturę piękną, związek potrzebował czegoś innego. Do bibliotek szło 500 sztuk, może trochę więcej. A nasz nakład podstawowy to było wtedy

trzy tysiące; w razie potrzeby drukowaliśmy trzy i pół tysiąca.

Ja od października do grudnia 1980 r. pracowałem w IBJ i prawie niczym się nie zajmowałem w NOW-ej. Później byłem na Zachodzie. Wróciłem znowu do IBJ, a interes prowadzili Grześ Boguta, Marek Chimiak i Piotrek Sz wajcer.

Na Zachodzie spotkałem wiele osób z emigracji. Rozmawiałem z Eugeniuszem i Aleksandrem Smolarami, z Bolkiem Sulikiem, z prezydentem Rzeczypospolitej na uchodźstwie Edwardem Raczyńskim, z premierem rządu RP w Londynie Edwardem Szczepanikiem... Najważniejsze spotkanie było w Chattam House w Królewskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Sala pełna dziennikarzy, Bolek Sulik tłumaczył na angielski. Drugie spotkanie było w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym. Mieszkalem u Gienka Smolara. Miałem także jedno albo dwa spotkania „na Zamku”, czyli w siedzibie prezydenta i rządu.

U prezydenta Raczyńskiego gościłem na obiedzie. Nieprawdopodobne spotkanie. Wcześniej nie miałem kontaktu z człowiekiem tej klasy, dyplomata, arystokrata. Nad Wisłą wszystko zostało zgleichschaltowane. Prezydent Raczyński – choć już prawie nie widział, czytano mu, jedynie słuchał radia – zupełnie swobodnie się poruszał w nazwiskach, wydarzeniach w Polsce. Myślałem, że przyjadę do kogoś siedzącego na wysokim tronie, z dala od polskich wydarzeń, i go poinformuję, co się tu dzieje. A to raczej on mnie informował. Zresztą tak samo było z Jerzym Giedroyciem. Wiedziałem, co się dzieje w moim otoczeniu, bo w tym uczestniczyłem, ale już nie w Gdańsku, we Wrocławiu. Oni wiedzieli znacznie więcej. Ponadto myśmy wtedy nie czytali prasy reżimowej – wydarzenia u „czerwonego” nas nie obchodziły; czy tam na górze jest jakiś

pan Kazio, czy pan Ziutek, twardy czy liberal, nie miało dla nas znaczenia. Chyba to był błąd. Giedroyc i Raczyński, mając świadomość tego, co dzieje się i w sferach partyjno-rządowych, i w sferach opozycyjnych, wiedzieli więcej ode mnie.

Ani ja, ani nikt w Warszawie nie śledził sytuacji międzynarodowej, natomiast oni mi zwrócili uwagę na to, że Związek Radziecki jest gotowy do interwencji. W Londynie byłem około 15 grudnia 1980 r. Oni mieli świadomość tego, że człowiekiem, który prawdopodobnie zatrzymał Armię Czerwoną przed wejściem do Polski, jest Zbigniew Brzeziński. Konsultował z nimi różne rzeczy. To, że sprawa polska rozstrzyga się między Moskwą a Waszyngtonem, to dla mnie była nowość, bo mnie się zdawało, że sami budujemy sobie świat i nikt nie ma na to wpływu. Z tych rozmów zapamiętałem, że jesteśmy tylko częścią, a polityka światowa rozgrywa się gdzie indziej.

Londyński Zamek, czyli prezydent i premier na uchodźstwie, żadnych rad, żadnych sugestii nie dawał. Oni jedynie obserwowali i pytali, w czym mogą pomóc. Ja odpowiadałem, że oczywiście przydadzą się sprzęt poligraficzny i książki. Oni bardzo w tym pomagali, wtedy później. Od zachodnich związków zawodowych dostawaliśmy pieniądze na zakup sprzętu, materiałów, ale nie na przerzut do Polski. Na to nie dostaliby kwitu. Rachunek za benzynę oznaczałby, że uczestniczą w szmuglu; tego nie chcieli pod żadnym pozorem. Oni kupują sprzęt – taka moralność związkowców. Kasę na transporty załatwiał rząd londyński. I Jerzy Giedroyc, który np. kupił nam ciężarówkę. Organizował to Marian Kaleta ze Szwecji i ja.

U Redaktora było inaczej niż na Zamku. Bo tam zadawano mi pytania, musiałem odpowia-

dać. Do Giedroycia wchodzisz – a on rzuca: co pan ma do powiedzenia? Coś tam odpowiadasz, po czym Redaktor mówi, że skoro wracam do Polski, to on ma pewne pomysły. Mówił to samo co zawsze. Ale do tej pory czytywałem to u Mieroszewskiego, a teraz Giedroyc sam wygłaszał: że osobno mamy małe szanse, jeśli nie spróbujemy robić fermentu na Białorusi, Ukrainie, Litwie, to się nic nie da. Żeby nawiązywać współpracę. To były sugestie, zalecenia. Dopiero po 1989 r. bywały dosłowne: Redaktor dzwonił i mówił, że w Stanisławowie jest sprawa, trzeba jechać, zorganizować, załatwić!

W latach 1980–1981 Redaktor sugerował. On wie, że w oddziałach radzieckich, które stacjonują w Polsce, jest wielu prostych ludzi z Pribaltyki, Białorusi, Ukrainy. Może warto by coś dla nich opublikować, może jakiś mały ferment się wywoła... Nie tyle angażować ich do czegoś, ile pokazać prawdziwą sytuację w Polsce. Napisać po rosyjsku, jakie są cele Solidarności, do czego ona zmierza, że to nie polityka, lecz ruch społeczny, robotniczy. Gdy zachlustywałem się tym, co się dzieje nad Wisłą, on pyta: „Panie Mirosławie, partia komunistyczna ilu liczy członków?”. Za Gierka liczyła około trzech milionów. – „Trzy miliony? Plus rodziny – razy cztery – dwanaście milionów. Ilu liczy polskie społeczeństwo dorosłych ludzi?” 24 miliony. – „Macie połowę. To nieprawda, że już wszystko zostało załatwione. Oni będą o swoje walczyli”. To był inny sposób myślenia.

Redaktor sugerował też, co NOW-a powinna wydawać. Był raczej za tym, by drukować rzeczy bieżące, o polityce, trochę się dziwił, że wydajemy Gombrowicza. Gombrowicza, Miłosza na bok. Teraz trzeba drukować Mieroszewskiego!

Z Alikiem Smolarem miałem dużą przygodę. Przylatywałem z Londynu, ale on nie mógł mnie

odebrać na lotnisku. Powiedział, żebym wsiadł w pociąg (RER), wysiadł na stacji Chatelet, jest kawiarenka, tam na niego poczekam. Wsiadłem, ale ponieważ nie miałem ani jednego franka, nie było też banku, nie mogłem wymienić pieniędzy i tylko kręciłem się po okolicy. Nagle widzę człowieka, myślę – znam go. Zacząłem za nim iść. To tu wstąpił do knajpki, to tam, wszędzie jacyś znajomi... Rozmawiał po francusku. W końcu nie wytrzymałem i po polsku spytałem, która godzina. Odpowiedział po polsku. Zatem jednak go znam! On jednak zaprzecza. Więc się przedstawiam. On: – „A, jasne. Janek Lebnstein”. Dostaliśmy od niego grafiki do *Folwarku zwierzęcego*, żeby je sprzedać na fundusz NOW-ej, i ktoś mi jego zdjęcie pokazał. A wtedy był czas, kiedy twarze mocno zapadały mi w pamięć: gdy kogoś zobaczyłeś na ulicy i potem znów w innych okolicznościach tego samego dnia, wiedziałeś, że za tobą chodzą tajniacy. Dalej było tak, że poszedłem do domu do Janka... Alik zawiadomił policję, że zniknąłem! Nie było mnie prawie 48 godzin. Siedziałem i chlałem.

Spotkałem wtedy jeszcze jednego bardzo ważnego człowieka, zupełnie nieznanego w Polsce – Andrzeja Chileckiego. Pisał w „Kulturze” *Kronikę niemiecką*. W Polsce miał wyrok za szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych, 10 lat, i myśmy się do niego nie przyznawali. Ale gdy się do niego do Kolonii posłało wiadomość, że jakaś część do powielacza się zepsuła, to po tygodniu przesyłka była w Warszawie. Jego żona Erika była Niemką, pracowała w Instytucie Wschodnim. Chilecki miał niezwykle rozległe kontakty niemieckie, co nam się przydało po wprowadzeniu stanu wojennego. Gdy transporty charytatywne wyjeżdżały z Niemiec, to dzięki jego kontaktom zawsze się nam udawało coś do nich dorzucić, sprzącik, tkaninę sitową albo

jakaś farbę. Ponadto miał niezwykle kontakty z niemieckimi związkami zawodowymi DGB.

* * *

Po powrocie z Zachodu pracowałem w IBJ. Aż tu znowu wiatr historii zaczyna wiać, jest Bydgoszcz, gotowość strajkowa, odwołanie strajku powszechnego, powstają komisje... Komisją NSZZ Solidarność do spraw społecznego przekazu kierował chyba Jerzy Kropiwnicki. Zostałem do niej dokooptowany. Toczyły się rozmowy z rządem, po drugiej stronie siedział Jerzy Urban albo Józef Barecki, do 1980 r. naczelny „Trybuny Ludu”, i tak to się mielilo godzinami – a ile papieru dla tego tygodnika, a jaki nakład, a jaka czcionka... Głównym przedmiotem rozmów był dostęp Solidarności do środków społecznego przekazu – radia, telewizji, prasy i wydawnictw.

Władza miała do związku pretensje, że wydajemy biuletyny wewnętrzne, które nie podlegają żadnej cenzurze: to niezgodne z prawem, teksty godzą w sojusze... Chcieli, żebyśmy przestali je wydawać, w zamian mieliśmy dostać „Tygodnik Solidarność”. W Szczecinie wychodził tygodnik „Jedność”, jeszcze gdzieś coś... Tego też dotyczyły rozmowy, ale były mniej istotne, bo to były pisma regionalne, a chodziło o tygodnik centralny. I szło o to, skąd wziąć papier. Może zabierzemy papier „Tygodnikowi Powszechnemu”? – pytają ci z rządu. To z naszej strony: a może „Trybunie Ludu”?

Chcieliśmy też mieć raz na tydzień godzinę własnych programów radiowych. Nic w tej sprawie nie ustaliliśmy. Tym bardziej w sprawie telewizji. Dlatego nagrywaliśmy własne programy radiowe i rozprowadzaliśmy je po radiowęzłach w zakładach pracy.

Czym się skończyły te rozmowy? Blokadą ronda w centrum Warszawy w sierpniu 1981 r. Nie szło się dogadać. (Było więcej komisji, ja uczestniczyłem tylko w jednej). Nie udało się niczego załatwić poza „Tygodnikiem Solidarność”. Zaczęło się w kwietniu, a skończyło w czerwcu. Rozmawialiśmy przez trzy miesiące, nie powiem, że codziennie, ale ze dwa razy w tygodniu. I nic z tego nie wyszło.

Drugie pole to było wydawnictwo związkowe. Solidarność chciała wydawać książki o zdrowiu, bhp, przepisach. Oni byli zdecydowanie przeciwni. Żadne decyzje nie zapadły. Staraliśmy się więc o to, by wydawnictwo CRZZ stało się wydawnictwem także Solidarności. Powołaliśmy radę naukową, w skład której wchodził Jacek Kurczewski, Jerzy Jedlicki, chyba Kuba Karpiński, Jerzy Holzer. Rada zbierała się, żeby opracować program wydawniczy, który oprócz spraw pracowniczych dotyczyłby także tematów historycznych, społecznych, kulturalnych. Pierwszą książką owego wydawnictwa związkowego był stenogram rozmów w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. Cenzura nie chciała tego puścić, szef rozkładał ręce, że się nie da... Wtedy ja poszedłem do prezesa cenzury. Miałem jakiś kwit z Komisji Krajowej, że organizuję wydawnictwo; to był moment, kiedy się już wypisałem z NOW-ej.

Gdzieś w maju 1981 r. na zebraniu zarządu NOW-ej złożyłem dymisję. Oficyna nie miała szefa, były tylko osoby, które nią zarządzały. To, że byłem identyfikowany jako jej szef, zawdzięczam wyłącznie policji, bo gdyby oni mnie tyle razy nie zamykali, gdyby nie wsadzili mnie w marcu 1980 r., to równie dobrze szefem mógłby być Konrad Bieliński albo Grzesz Boguta. Wypisałem się z zarządzania firmą, bo nie dało się tego pogodzić z działalnością oficjal-

ną, cenzurowaną. To mi bardzo pomogło przy rozmowach o zapisie negocjacji sierpniowych. Gdy nie chcieli tej książki puścić, powiedziałem – OK, nie ma sprawy, NOW-a to wydrukuje. I wtedy prezesowi cenzury zaświtało i zdecydował, że zwalnia. Choć zaproponował zmiany. Początkowo – zmiany w tekście. – Ale jakże? Są przecież taśmy... Zrezygnował. Przyczepił się za to do wstępu, który napisała pani Ania Walentynowicz. Tam było o „Robotniku Wybrzeża” i o tym, że działał wśród nich agent, wymieniony z imienia i nazwiska. No więc myśmy z niego zrezygnowali. To jest jedyna ingerencja cenzury w tej książce. Potem była kwestia nakładu. Wynegocjowaliśmy 30 tysięcy. I tyle wyszło, w końcu sierpnia. To był zapis rozmów oficjalnych, które szły nagłośnione na stocznię, a nie wszystkich. Wiozłem tego pełny samochód na pierwszy zjazd krajowy Solidarności.

Były kwestie, jaka część wydawnictwa związkowego ma drukować to, czego chce Solidarność, a jaka to, czego chce władza, żeby się nie dublowało. Uznaliśmy, że kodeksem pracy i podręcznikami bhp zajmie się CRZZ, oni mają ludzi, co się na tym znają. A my zajmiemy się historią, naukami społecznymi, różnego rodzaju dokumentami. Długo to jednak nie trwało; zaczęło się w maju, później były wakacje, krajowy zjazd delegatów, a na nim zostałem wyznaczony do organizowania stoiska Solidarności na międzynarodowych targach książki we Frankfurcie... Przychodzi październik – i już wyjeżdżam.

Na pierwszej turze zjazdu Solidarności byłem gościem albo obserwatorem. Albo ekspertem. Na drugiej turze też. Największym szokiem była debata nad podziękowaniem dla KOR. Drugi ważny moment to wybory przewodniczącego. Byłem gorącym zwolennikiem Andrzeja Gwiazdy. Miałem dość dużo doświadczeń z pierwszym

przewodniczącym i wydawało mi się, że będzie lepiej, jeśli związkiem będzie kierował inżynier niż elektryk. Oczywiście – nie miałem racji. Ale wtedy uważałem, że trzeba ostrzeż. Tak naprawdę od konfliktu bydgoskiego poza „Tygodnikiem Solidarność” kompletnie nic nie dało się załatwić z władzą.

W czasie zjazdu byłem świadkiem ciekawego zdarzenia. Chodził wśród delegatów prokurator Śliwa z Kalisza, współpracownik KOR. Że oni z kaliskiego też coś muszą zgłosić do uchwalenia; delegacje regionów się w tym prześcigały. Złapał mnie za rękaw: zrobmy list do robotników na świecie! W życiu niczego nie pisałem, więc się nie podjąłem. Po jakimś czasie widzę, że złapał pod rękę Jasia Lityńskiego – i razem napisali to „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”. Pomysł był świętej pamięci Bogusia Śliwy. Nie wiem, czy to nie jest najważniejsza rzecz z tego zjazdu. Gdy potem w Paryżu rozmawiałem z Czechami, Węgrami czy Rumunami o współpracy, to oni tym wymachiwali. Było dla nich niezwykle ważne, że chcemy razem z nimi, że ich los nie jest nam obojętny. Dalej: jeśli brać pod uwagę pomoc Zachodu, to w prasie, w której analizowano wydarzenia w naszej części Europy, „Posłanie” przywoływano najczęściej. Była to jedyna geopolityczna wypowiedź Solidarności i wywołała wielkie poruszenie. A geopolityka była wówczas w centrum zainteresowania świata.

Nawet nie należałem do tego związku; nie zapisałem się, nie było mi to potrzebne. Wtedy wszyscy pchali się do Solidarności. Ja niby mam stać w kolejce? Mimo to do Frankfurtu zostałem wysłany przez związek, dostałem paszport służbowy. Podczas pierwszej tury zjazdu w czasie obrad dotyczących cenzury czy wydawnictw zostałem wezwany, by powiedzieć, jak wygląda sprawa wydawnictwa CRZZ. Wtedy zwróciłem

związkowcom uwagę na to, że są targi książki we Frankfurcie, warto wyjść na zewnątrz.

Miałem we Frankfurcie zorganizować stoisko z wydawnictwami związkowymi. Chodziło tylko o wystawkę, bo przecież tam się handluje prawami autorskimi, a myśmy mieli jedną jedyłą pozycję – zapis rozmów gdańskich. Chodziło o obecność. Ale długo nie otrzymywałem paszportu i wyjechałem, gdy targi już się rozpoczęły. Organizowanie czegokolwiek było już niemożliwe. Choć Andrzej Chilecki, którego poznałem prawie rok wcześniej, jednak coś załatwił.

Grześ Boguta, który też tam jechał, wylaatywał samolotem z Warszawy z potężną liczbą książek i wszystkie mu zabrali. Ja natomiast, chytrzejszy – wsiałem w swój samochód i pojechałem do Świnoujścia, a stamtąd do Malmö.

Miałem kwit od Wałęsy, że jadę na targi. W Warszawie służby wiedzą, kiedy wyjeżdżasz, bo kupiłeś bilet... Ja zresztą też go kupiłem, żeby oni tutaj na mnie czekali, a nie powiadomili wszystkie punkty graniczne. Gdy człowiek podchodził do odprawy celnej z kwitem od Wałęsy na formularzu związkowym, na którym było napisane, że prosi się wszelkie władze o udzielenie wszelkiej możliwej pomocy, to jednak robiło wrażenie. Gdyby celników uprzedzono, to by wiedzieli, jak się zachować, ale nikt ich nie uprzedził. A gdybym jechał przez NRD, to również Niemcy by mnie wytrzepali. Postanowiłem jechać promem przez Świnoujście. Dotarłem do Frankfurtu w dniu otwarcia targów.

Przeznaczono dla nas niewielką przestrzeń, którą zaraz zagospodarowaliśmy. Tam też doszło do podpisania umowy o współpracy między NOW-ą a Instytutem Literackim i utworzeniu funduszu „Kultury”. Chodziło o to, że w Polsce rozmaite wydawnictwa sobie drukowały

książki „Kultury”, robiły na tym kasę, w ogóle nie pytając o prawa. Uzgodniliśmy, że to my będziemy udzielali zgód na druk książek Instytutu Literackiego w podziemiu i pobierali za to opłatę, powstanie w ten sposób fundusz, którym zarządzać będzie Redaktor. Będzie mówił, co z tym robić. Przecież nie chodziło o to, żeby mu te zlotówki odsyłać. Porozumienie zostało opublikowane w „Kulturze”. Ale podpisał je Grześ, bo mnie już nie było wtedy w NOW-ej.

Tymczasem do centrali związkowej DGB w Kolonii dotarł teleks od Tadeusza Mazowieckiego, że kanadyjscy goście zjazdu, związkowcy z zakładów papierniczych, postanowili, że kilka minut pracy tygodniowo przeznaczą dla Solidarności. Co oznaczało, że w ciągu tygodnia naprodukują tyle papieru, że będziemy mogli drukować milion nakładu „Tygodnika Solidarność”. Ale w Polsce nie dawali już nikomu paszportów. Dostałem więc polecenie, by jechać do Kanady i zorganizować transport tego papieru do Polski. Zacząłem czekać na wizę kanadyjską. Gdyby chodziło o Stany Zjednoczone, to Jan Nowak-Jeziorański by to od ręki załatwił z Brzezińskim. A tak czekałem ponad miesiąc, może półtora. Najpierw w Niemczech, później już nie miałem pieniędzy, więc Giedroyc zaprosił mnie do Paryża – powiedział, że sfinansuje podróż. Tymczasem jeździłem po jakichś mitingach organizowanych przez Association Solidarité France-Pologne, w różne miejsca mnie wozili i pokazywali jak malpę (ja ani be, ani me po francusku).

W końcu na początku grudnia 1981 r. wylądowałem w Kanadzie. Spotkałem się ze związkowcami, uzgodniliśmy, że papier będzie za miesiąc. Miał go zabrać statek Polskich Linii Oceanicznych w uzgodnieniu z Solidarnością PLO. Oni mieli tydzień do namysłu. Postanowiłem pojechać do Stanów, Nowak z Brzezińskim załatwili

mi wizę. Nowak, czyli „Wuj”, zorganizował mi spotkanie w Departamencie Stanu. Mam piękne zdjęcia z tego spotkania. Zupełnie nie dawalo się wyczuć, że oni na coś czekają. Ja mówiłem: czerwonego już nie ma!, na wiosnę robimy wybory samorządowe, najpierw przejmujemy władzę lokalną, a później się zobaczy. Entuzjazm. Inna rzecz, że nie było mnie w Polsce już od dłuższego czasu, nie wiedziałem o grupach wojskowych, nie czulem atmosfery. Dałem dupy, chyba jak nigdy. Bo następnego dnia wprowadzono stan wojenny. W Departamencie Stanu pytali mnie o możliwą interwencję sowiecką. Ona była już możliwa w grudniu, rok wcześniej, ale ja twierdziłem, że Sowieci ugrzęźli w Afganistanie, nie dają sobie rady. W wojsku są dzieci ludzi z Solidarności, nie będziemy do siebie strzelać...

Byłem akurat u Tadeusza Walendowskiego, który pracował w Głosie Ameryki. Zadzwoniliśmy do Jacka Kuronia – i nie było połączenia. W Polsce było około osiemnastej. Nie wiedzieliśmy, że Jacek jest w Gdańsku, ale tak czy inaczej skoro u Kuronia nikt nie odbiera telefonu, to zaczęliśmy się zastanawiać. Tadeusz, który w odróżnieniu ode mnie czytał prasę, nasłuchując itp., pojechał do redakcji. Mnie tam nie mógł wprowadzić. Zaraz zadzwonił z informacją o stanie wojennym. I że informację przekazał Krzysztof Śliwiński. Jeden z korespondentów zagranicznych w Polsce był akurat u Śliwińskiego, kiedy do niego zapukali esbecy. Dziennikarza puścili, bo go nie było na liście. Przez biuro radcy handlowego pchnął informację do Wiednia i się rozniosło. Wiadomo było, że wprowadzono stan wojenny, że zamykają. A jedyne znane nazwisko to był Śliwiński. Prasa światowa pisała: Śliwiński poinformował.

Następnego dnia rano pojechałem do Nowego Jorku, bo z Waszyngtonu do Polski nie latały samoloty. Chciałem wracać na ten pogrzeb

komuny – bo przecież takiego sobie gola strzelili, że już się nie podniosą... Ale dowiedziałem się, że są wstrzymane wszystkie loty.

Piotrek Naimski wtedy wrócił, ktoś jeszcze, przez Kanadę. Ja też bym wrócił, gdyby nie to, że 17 grudnia – mam ten numer „New York Timesa” – została opublikowana lista osób już aresztowanych. Poza mną był na niej Seweryn Blumsztajn – który znajdował się przecież w Paryżu, Jakub Karpiński – w Nowym Jorku, jeszcze ktoś, kto był za granicą. Gdy „New York Times” napisał, że siedzę, a wyjechałem z Polski w październiku, to staliśmy się z Kubą gwiazdami telewizyjnymi. Przez jakiś tydzień nie mogłem wyjechać, bo na okrągło zgłaszały się różne stacje, trzeba było walić w czerwonego.

Ale uważałem, że należy wracać do Europy. Na co „Wuj” Jan twierdził, że jestem idiota, bo wszystko co ważne dzieje się w Ameryce. Tam można robić dużą pracę polityczną, a on już jest człowiekiem starszym, wkrótce nie będzie miał żadnego wpływu, powinni to przejąć młodzi. Jest idealny moment; stacje telewizyjne, wszyscy mnie znają, nawet Departament Stanu mnie zapraszał.

Jednakowoż po to, żeby cokolwiek się dowiedzieć, musiałem dzwonić do Paryża. Bo tam lądowały samoloty, jeździły pociągi, wracały transporty charytatywne, które przed stanem wojennym pojechały do Polski. Z pierwszymi ulotkami, informacjami. Uznałem, że tutaj nic nie zrobię, a mając tak dużo znajomych w Polsce i obstukane struktury w kraju, znacznie skuteczniej będę organizował szmugiel sprzętu, najróżniejszych materiałów. W Waszyngtonie już mnie dopadły listy z prośbami, by coś przewieźć. Po trzech dniach ktoś przyjeżdżał, zabierał listy, prasę, wszystko w Paryżu już było, w Sztokholmie też, a w Waszyngtonie zero, stamtąd nic nie

załatwisz w tej sprawie. Do tego my mamy ten pojebany punkt widzenia, że my wszystko sami. Co tam wsparcie Ameryki! Damy radę! Zresztą – pomyślałem sobie – a co ja tutaj będę robił? Prezydent Reagan ogłosił już sankcje, robi program Solidarity Day, nad Ameryką nie trzeba pracować, wie sama, co ma robić. Gdyby trzeba było rząd amerykański przekonywać do jakichś działań, to może by mnie Nowak namówił. Zdawało mi się, że ważniejsza jest pomoc kolegom, którzy coś próbują robić.

Przyleciałem najpierw do Sztokholmu; ktoś musiał mi zapłacić za bilet, a największe kontakty miałem ze szwedzkimi związkami zawodowymi, bo oni wzięli na siebie pomoc poligraficzną. Jak się dowiedzieli, że jestem na Zachodzie, to mnie zaprosili do Sztokholmu na jakieś spotkanie, odczyty. Na początku lutego 1982 r. wylądowałem w Paryżu. Tutaj podłogi u wszystkich znajomych pozajmowane przez tłumy ludzi, których wojna zastała, w „Kulturze” nie ma gdzie szpilki wetknąć. A ja przecież przyjechałem własnym samochodem, miałem gdzie mieszkać! Najpierw trzy tygodnie w samochodzie, później w księgarni, a później Kot Jeleński załatwił mi stypendium.

W kwietniu powstał „Kontakt”. Wcześniej powołaliśmy Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej. Właściwie to nie ja powoływałem, ale Miłosz, Jeleński, Wiktor Weintraub, Krzysztof Pomian, Olga Szerer, Józio Czapski, Leszek Kołakowski... Ja zostałem sekretarzem. Chodziło o to, żeby wspomagać, dawać stypendia ludziom przyjeżdżającym, jakąś pomoc dla wydawnictw itd. Ponieważ Solidarność otrzymywała już ogromną pomoc od związków zawodowych, trzeba było powołać strukturę, która będzie wspierać niezależny ruch wydawniczy, a nie związkowy. Zaczęło się od

miliona koron norweskich, które załatwił Bjørn Cato Funnemark, sekretarz prof. Prebena Munthe, który był szefem fundacji Fritt Ord, czyli Wolne Słowo. Koncern Orkla założył Fundację Wolnego Słowa. Oni dali pierwszy milion koron i musiała powstać firma, która je przyjmie. Kot Jeleński załatwił z Fundacją Forda, że jeżeli zdobędziemy jakieś pieniądze, to Fundacja Forda dołoży drugie tyle. Gdy ma się już takie pieniądze, zdobywanie następnych to luzik! Jak masz 400 tys. dolarów, to dalej dają inni. Pamiętam, że pisałem listy do Czesława Miłosza, on je podpisywał... 1 lipca było spotkanie w Oslo, na którym powołano Biuro Zagraniczne NSZZ Solidarność z siedzibą w Brukseli. A dlatego w Oslo, gdyż tam nas zaprosiły związki zawodowe. Jeśli nam, świeżym emigrantom, ktoś nie zapłacił za bilet, nie mieliśmy szans... Nie spotkaliśmy się w Brukseli, bo tam nikt nas nie zapraszał.

W spotkaniu w Oslo uczestniczyli Bohdan Cywiński, Jurek Milewski, Sewek Blumsztajn, w sumie piętnaście osób. Szło o to, kto będzie szefem tego biura. Pomysły Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej były takie, żeby szefem został Cywiński. On uznał, że się nie nadaje; chyba miał rację. Potem – że Gienek Smolar; też uważał, że emigrant z 1968 r. nie powinien być przedstawicielem Solidarności, bo nie był w Polsce od tamtej pory. Sewek odmówił, ja odmówiłem. Został więc Milewski.

Pierwszy numer „Kontaktu” wyszedł w kwietniu. Poza mną robili go Bronek Wildstein, Wojtek Sikora, Zosia Różankowska (urodziła się już na Zachodzie, córka redaktora Wolnej Europy). Ogromną pomocą była Natalia Gorbaniewska, która zresztą wymyśliła tytuł. Na początku mieliśmy pomysł, żeby publikować materiały także po francusku i angielsku, i żeby „Kontakt” był pismem, jak chciał Giedroyc, łączącym różne

emigracje. Do jego powstania doszło chyba dlatego, że Giedroyc mnie zmusił.

W tamtym czasie Jaruzelski chciał otworzyć więzienia dla tych, którzy chcieliby emigrować. Redaktor mówił, że będzie tak jak po 1956 r. na Węgrzech i po 1968 r. w Czechosłowacji. Zjawi się na Zachodzie ogromna liczba poważnych ludzi i trzeba im stworzyć forum. „Kultura” nie da rady. A ja wiedziałem, że nie mielibyśmy noblisty Miłosza, gdyby nie „Kultura”. Nie byłoby Gombrowicza, gdyby nie miał gdzie wydawać. Zdawałem sobie sprawę, że rzeczywiście to jest coś istotnego. Redaktor miał już 75 lat. On tego argumentu nie podnosił, o nie! Ale każda emigracja tworzy własne środowiska i własne pisma. „Pan to załatwi” – mówił. Ja? Dlaczego? Nie znam się na tym, żaden ze mnie redaktor. „Pan jest najlepszy, bo pan niczego nie napisał”. To był ten argument. Znal moje dwa teksty, jeden w „Kulturze” zresztą, a drugi w „Zapisie”. Jak człowiek sam nie pisze, a jest dobry organizator, to się nadaje.

Tak powstała gazeta. Pierwszą listę wysyłkową dał nam Giedroyc. Zgłosili się do niego ludzie związani z Solidarnością. Nie dał mi wszystkich prenumeratorów, ale tych, którzy jakoś otarli się o Solidarność. Drukowaliśmy w drukarni związkowej Force Ouvriere, robił to Jacek Pierzchała i jeszcze ktoś. Zosia Różankowska tłumaczyła na francuski i angielski. A wysyłkę załatwiał jakiś inny związek... I tak przez pół roku funkcjonowaliśmy bez pieniędzy, nie wydając na nic, ani na pocztę, ani na druk, nie placąc nikomu nic. Wystarczał entuzjazm. Dość szybko przestaliśmy drukować cokolwiek w obcych językach, bo wychodziły już biuletyny – i ten paryski Sewka Blumsztajna, i w Nowym Jorku, i w Londynie. „Kontakt” dość dużo miał materiałów dotyczących Europy Środkowo-Wschodniej,

Natalia Gorbaniewska organizowała debaty, spotkania z przedstawicielami tamtych emigracji.

Potem pojawiły się pieniądze ze sprzedaży pisma. Była taka instytucja w Nowym Jorku, która nazywała się International Literary Centre. Prowadził ją George Minden, Rumun. Oni kupowali 500 sztuk „Kontaktu”; określone liczby egzemplarzy trzeba było wysłać do Kuby Świącickiego w Szwecji, do Gienka Smolara do Londynu, do księgarni polskich w Paryżu itd. Następnie to jechało do Polski. A jeżeli masz na pniu sprzedanych 500 sztuk, to masz już koszt druku. Potem skądś dostaliśmy maszynę drukarską, więc było taniej.

Ja miałem stypendium, pozostali też. Była w Paryżu Fundacja na rzecz Wzajemnego Wsparcia Intelktualnego w Europie (Fondation pour une entraide intellectuelle européenne). Prowadziła ją Annette Aschoff-Laborey. Zasiadał w niej Jeleński. Oni dawali nam jakieś pieniądze. Później stanęliśmy na nogi.

Pewnego razu przyszła Agnieszka Holland i mówi, że koniecznie trzeba zrobić film o „Kulturze”, bo tam nigdy nie było kamery. Kamery pożyczyl nam ksiądz pallotyn, dał też taśmę. Zrobiliśmy godzinny film, a materiału zdjęciowego do niego nakręciliśmy półtorej godziny – to prawie rekord świata! (Bezsprzecznie re-

kordem są *Robotnicy 80* – godzina filmu, godzina i 20 minut zdjęć). Ktoś go zmontował, organizowało się to wówczas bez pieniędzy. Premierę zrobiliśmy w teatrze Chaillot na Trocadero, wśród Polonii przeszedł taki chyr, żeśmy kasety sprzedawali!

Na pewno jednak z samej sprzedaży kaset byśmy się nie utrzymali. Ale zjawia się niejaki Szklarzyk, który mówi: „Ja wam mogę kupić sprzęt montażowy, kamerę, światło, dźwięk. To będzie na moją firmę, ale u was będzie stało. Ja pod koniec roku zapłacę mniejszy podatek, bo zainwestowałem, to mnie będzie kosztowało 100, a naprawę 20”. I sfinansował nam sprzęt. Następne filmy robiliśmy nie na taśmie filmowej, lecz na wideo, to znacznie taniej. Nawet ulokowanie w jednym miejscu redakcji, drukarni i studia jest tańsze – mniejsze są koszty wynajmu lokalu. Drukarnia natomiast zarabiała na sobie, bo wydawaliśmy polskie pismo kościelne i biuletyn Solidarności, finansowany przez centrale związkowe. Budowaliśmy względnie samodzielne instytucje dzięki temu, że ktoś nam coś dał na początek.

Relacja spisana przez Jana Tomasza Lipskiego

mail: jantomaszlipski@tlen.pl